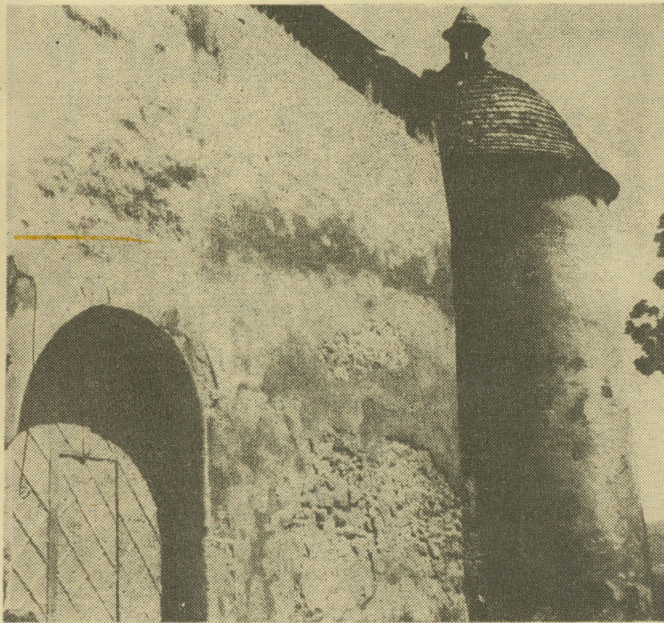


Napisała do mnie z Londynu p. Krystyna Dulak-Jankiewicz, góralka urodzona w Pławicznej, mieszkająca w Anglii od lat dwunastu i przelała mi garść wierszy wywiedzionych z nostalgii za Ojczyzną. Ujęła mnie w tych wierszach bujna obrazowość, soczysta krzepa językowa — nic z ogranej śpiewki ludowej, nic z pasterskich pohukiwań — śmiała wizja góralskiego życia odcraszona ironią i humorem.

Z całą ufnością polecam te wiersze czytelnikom „Dunajca”.

Jalu Kurek

RED.: Zamieszczamy obok jeden z nadesłanych wierszy, resztę wydrukujemy w najbliższych numerach „Dunajca”.



Fot. JERZY ŻAK

Krystyna Dulak-Jankiewicz

Diabeł na jarmarku

W Starem Sączu na jarmaku
tończył diabeł w czarnym fraku,
tu podkusi, tam podkusi,
tu ukradnie, tam zadusi,
tu rozwali, tam przydepcę,
tu wygrzie, tam wychlepcę,
babie mlyko zmienił w wodę,
chlópu w portkach zrobił skodę,
krowę rozził, krowa kopie,
mlyko swoje z wiadra łopie
i w półkoszaku potarmosił,
dwa koguty okokosił,
a kokoski zmienił w kwoki,
zrozwiżywoł ptactwu troki.

Nick to diabli tego diabla,
baba we łzak w wozie siadła,
tyle światu my zjechali,
o północy powstawali,
zeby człowiek zajarmacył,
a ón syćko przeinaacył.

Potela dotęła tak busowol,
wpod do karemy, z chłopstwem przepił,
jaz mu fosi wytusowol
kartkę z diabłem i przycepił.

Widzom ludzie, diabeł, niepeć,
krzyzem światem sie zęgnajom,
przepędź, Boże, diabla przepędź,
do kłasztoru diabla gnajom.

Cornoksieźnik mury pocuł,
widok krzyża go zamroczył,
jus Klaryski światom wote
niesom diablu na ochłodę.

Diabłem strzępla czorno febra
i naprzęo w sobie zebra,
w ogon zebrał syćkie moce,
abo zgine, abo skoce,
i w powietrze wbił sie cały,
jas devołki, co wrzescały,
śeichły, zbladły, pazdrawice,
właśnie miłoj Biegonice,
jak go złećci z ziemi palcem
wypatrzyły nad Dunajcem.

Wyładowol cały zdrowy,
ino mokry do połowy
w Nowem Sączu, w tvj dzielnicy,
co sie Piekłem po wstydnicy
zwie do dzisiaj.

Stanisław Palka

Refleksje przed pierwszym dzwonkiem

Jeżeli mówi się o szkole, to ton rozmów jest mało radosny. Rodzice martwią się tym, że dzieciom brak podręczników, zeszytów, przyborów szkolnych. Nauczyciele z udrgą myślą o wchodzeniu w kierat obowiązków dydaktycznych i wychowawczych w klasach przepelnionych, pozbawionych wielu elementarnych pomocy naukowych. Dyrektorom szkoły spędza sen z powiek świadomość tego, że remont budynków szkolnych się przedłuża, że część nauczycieli znów w zwolnieniach lekarskich szukać będzie ucieczki od pracy. Uczniowie z obrzydzeniem myślą, iż trzeba znów do nudnej budy wracać pozostawiając za sobą uroki słonecznych wakacji. Pracownicy nadzoru szkolnego oczyma duszy dostrzegają już „front walki” o dalsze podnoszenie poziomu nauczania i wychowania.

Spróbujmy jednak na chwilę odłożyć pretensje, żale, poczucie niechęci i poddamy się następującej refleksji: szkoła jest taka, jakie jest społeczeństwo, w którym funkcjonuje, przechodzi więc dziś musi różnorakie kryzysy. Szkoła pozostaje jednak, mimo swej dżisiejszej mizerii, instrumentem doskonałenia społeczeństwa. Szkoła jest nadzieją na odnowę moralną i intelektualną w Polsce. Jeżeli zaakceptujemy to stwierdzenie, to przy dobrej woli niestrudno będzie znaleźć konstruktywne sposoby działania w szkole i w domu. Jakże więc działania, nie wymagające dodatkowych nakładów finansowych, można i należy wstyczać? W odpowiedzi

na to pytanie znaleźć można dziesiątki pomysłów. Przytoczmy niektóre z nich.

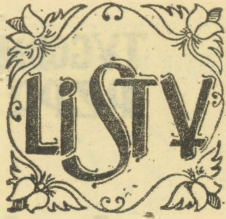
Rodzice mogą już dziś zapewnić dziecku stały kąk do pracy w domu (nie wszyscy są w stanie oddać dziecku cały pokój do dyspozycji), stolik, półkę na książki i przybory szkolne. Już dziś mogą podjąć postanowienie, w jakich porach dnia winno dziecko odrabiać zadania domowe i w tym czasie nie powinno się mu przeszkadzać, w jakim czasie i jakie audycje telewizyjne może oglądać, jakie obowiązki domowe musi wykonywać, o której godzinie musi chodzić spać bezwarunkowo.

Nauczyciele nie muszą się uporczywie nastawiać na pamięciowe opanowywanie wiadomości przez uczniów. Pamięć zawodzi, efekty egzaminów na wyższe uczelnie wskazują jak dalece nieskuteczne jest to nauczanie, jak mizerny zestaw niepowiązanych ze sobą wiadomości wynoszą uczniowie ze szkoły. Nauczyciele powinni się nastawić na rozwijanie myślenia dzieci i młodzieży, na kształtowanie umiejętności korzystania ze źródeł informacji, operowania tymi informacjami w mowie i piśmie, krytycznego ustosunkowywania się do nich, na rozbudzanie i podsyćnianie zainteresowań, a także na kształtowanie umiejętności współzycia i współdziałania w zespole. Czasy dzisiejsze wymagają nie tylko ludzi dysponujących pewną sumą wiadomości, lecz przede wszystkim ludzi umiejących odróżnić ziarno od plewy, samodzielnie poszukujących

prawdy, mało podatnych na demagogiczne hasła i manipulowanie ze strony liderów różnych sił politycznych i społecznych. Wprowadzanie większej elastyczności do programów nauczania, zwiększanie zakresu czasu wolnego (wolne soboty) stanowić mogą zachęcającą perspektywę dla rozumnego przygotowywania i realizowania zajęć dydaktycznych.

Dyrektorzy i pracownicy nadzoru pedagogicznego niechaj rozluźnią nieco gorset rutyny w pracy szkolnej i dają nauczycielom twórczym — a takich nie brakuje w dzisiejszej szkole — możliwości działania, wspierają ich aktywność, neutralizują niechęć niektórych środowisk nauczycielskich do nauczycieli-nowatorów. Niechaj nauczyciele szczerze pragną ożywienia pracy dydaktycznej i wychowawczej w szkole nie spotykają się z drwiną i śmiechem ze strony swoich kolegów, lecz z wyrazami co najmniej zachęty i uznania. Realnego, a nie udawanego realizowania wymagają współpracacy z rodziną i organizowanie tzw. pedagogicznej rodziny.

Pomysłów odnowicielskiej pracy w szkole znaleźć można znacznie więcej. Rzecz w tym, by przy najmniej niektóre zacząć wprowadzać od dziś. Zawód nauczycielski, jakkolwiek nie zajmuje najwyższej pozycji w hierarchii zawodów w Polsce, to z pewnością zajmuje jedno z czołowych miejsc na liście profesji nie przeżartych z paszczem moralnym i w tym trzeba upatrywać nadziei na ulepszenie społeczeństwa.



Uwaga na rady narodowe

Ostatnio ujrzał światło dzienne kolejny ważki dokument — założenia projektu nowej ustawy o radach narodowych. Bez zasadniczej reformy działania władz terenowych nie jest możliwe dokonanie głębokiej i kompleksowej reformy gospodarczej. Samorząd lokalny winien stanowić podstawowe ogniwo naszego nowego modelu gospodarczego.

Projekt ustawy o radach narodowych wymaga wnikliwej uwagi oraz szerokiej społecznej konsultacji. Nie jest bowiem tajemnicą, że w naszym systemie władz rady narodowe stanowią — niestety — jego najsłabsze ogniwo.

Wbrew dotychczasowym ustawom, a nawet konstytucyjnym uprawnień nie miały one faktycznej władzy, nie zdobyły uznania i auctoritetu, zdominowane przez aparat administracyjny.

Podstawowym zadaniem rad narodowych jest zaspokajanie potrzeb mieszkańców, m. in. poprzez szerokie pobudzanie i rozwijanie inicjatyw lokalnych społeczności. Jako terenowe organa władzy państwowej muszą one samodzielnie kierować znaczną częścią gospodarki narodowej na podległych im obszarach.

Czy projekt nowej ustawy gwarantuje radom możliwości realizacji tych zadań? Pytanie to ma szczególny sens w naszym województwie, bogatym w samorządowe tradycje oraz znanym z głośnych inicjatyw, jak choćby „eksperyment nowosądecki”.

Do omawianego projektu można — i trzeba — póki czas zgłaszać odpowiednie uwagi i propozycje tak, aby w ostatecznym kształcie ustawa ta spełniła nasze oczekiwania.

ZYGMUNT BŁASZAK
Nowy Sącz



Teoretycznie w Nowosądeckim mleka powinno być w bród. Województwo dzierży prymat w kraju pod względem ilości sztuk bydła hodowanych na każdym 100 hektarach użytków rolnych (na 100 ha około 100 sztuk). Najwyższe jest też pogłowie krów mlecznych — prawie 56 sztuk na każde 100 hektarów. Mimo, że w porównaniu z czerwca 1980 roku ilość krów mlecznych spadła o 1,6 procenta, to i tak jest ich około 146 tysięcy.

Kiedy jednak kupujemy butelkę mleka w sklepie, lub gdy bierzemy je spod drzewi, chyba nigdy nie zastanawiamy się, że właściciel to mleka tego nie kupił, lecz otrzymaliśmy je w prezencie, do którego przyszło nam dopłacić jedynie dwa złote dziewięćdziesiąt groszy.

Jak wygląda bowiem ekonomiczny rachunek?

W Nowosądeckim spółdzielczość płaci dostawcom średnio około 14 złotych za litr mleka prosto od krowy. Jedzie ono następnie transportem konnym do zlewni. Koszty rosną: przewóz jednego litra np. z Wilczyc do Mszany Dolnej kosztuje 13,50 zł. Ze zlewni mleko je-

STANISŁAW ŚMIERCIAK REPORTERSKIE WĘDRÓWKI

Pośród zakładów rzemieślniczych w Nowym Sączu jest kilka prawdziwych „perełek”. Wśród nich — pracownia zegarmistrzowska Henryka Dobrzańskiego, mieszcząca się od 80 lat przy ulicy Jagiellońskiej 2. Specjalizuje się ona w konserwacji zegarów zabytkowych, a także w remontach i odbudowie starych zegarów wieżowych. Zegarmistrzowska — z pokolenia na pokolenie — rodzina Dobrzańskich zgromadziła także własną bardzo bogatą kolekcję unikalnych często chronometrów. W zbiorze tym znajduje się m. in. wspaniały zegar z olbrzymim olejnym peżajem, osłaniającym system pozytywek wygrzywających co godzinę inną, wcale nie krótką melodię. Jest też konstruowany na początku naszego stulecia przez założyciela firmy zegar-szafa, wyposażony w kalendarz miesięczny i rewelacyjnie precyzyjny: jedna-minuta błędu na miesiąc. Wreszcie — nieduży zegar stołowy wykonany przez obecnego właściciela firmy podczas okupacji hitlerowskiej. W jego mechanizmie ukryty był odbiornik radiowy — również dzieło Henryka Dobrzańskiego.

Innym zakładem z tradycjami jest secesyjny atelier fotograficzny „Jani-

Pracownice muzea

na”. Mieści się ono na piętrze kamienicy, którą w 1906 roku wzniesiono przy ulicy Narutowicza specjalnie z myślą o zakładzie fotograficznym. Jedną ścianą i dach atelier są ze szkła. Unikalne wyposażenie zakładu pamięta ostatnie lata zeszłego stulecia. Dziś firmę prowadzi trzecie już pokolenie fotografów z rodziny Stadników. Wśród eksponatów tego zakładu — muzeum znajduje się m. in. stare reflektory, wzróżyste tła, ekrany rozjaśniające, a nawet... podpórka do unieruchamiania głowy fotografowanej osoby. Jeszcze innym, jakby nie w tej epoki zakładem rzemieślniczym jest pracownia jedynego w Sądeckim bednarza — Henryka Kordysa. Mieści się ona w dwu maleńkich izdebkach przy ulicy Piastowskiej. Wytwarzając ręcznie beczki, cebrzyki, konewki ze specjalnie przygotowanego drewna Henryk Kordys — wielce zasłużony uczest-

nik II wojny światowej — kulturowe bednarzkie tradycje swego ojca i dziadka. Niestety, żaden z synów pana Henryka nie zdecydował się na kontynuowanie rodzinnego zawodu.

Natomiast kłopotów z sukcesją — ze względu na zainteresowania syna — nie ma pani Grażyna Kulig prowadząca przy ulicy Lwowskiej jeden z trzydziestu w regionie zakładów tapicerskich. Jej pracownia jest jedyną podejmującą się rekonstrukcji lub odnawiania zabytkowych mebli miękkich. Wszelkie, nawet najbardziej skomplikowane prace są tu wykonywane z olbrzymim zaangażowaniem, a jest to w dużej mierze zasługa pani Grażyny, nie tylko znającej doskonale swą specjalność, ale także żywo interesującej się historią sztuki, a nawet czynnie uprawiającej — i to z niezłymi efektami — marlarstwo, rysunek i grafikę.

Perpetuum mobile w Piwnicznej

Zakład przemysłowy pozbawiony dostaw paliw i energii nie może produkować. A jednak — takie niemalże perpetuum mobile istnieje w województwie nowosądeckim.

Bez systematycznych dostaw węgla, bez wielkich ilości energii elektrycznej, nie korzystając nawet z kół wodnych które mogłyby być poruszane przez wody Popradu, nad którego brzegiem jest usytuowany — pracuje tartak w Piwnicznej. Przewozi się doń tylko kłody drzew z pobliskich lasów w celu przetarcia na deski. Stary trak z 1927 roku napędza również leciwa lokomobila parowa wyprodukowana przez niemiecką firmę „Völp”. Do jej opalania wystarczają trociny sypane się spod pól tarczowych. Swą sprawność techniczną lokomobila zawiądująca opiece sądeckich kolejarzy, którzy ostatnio przeprowadzili jej remont.

Były plany przeznaczenia lokomobili — staruszki na złom lub odstąpienia jej do muzeum. Spółdzielnia inwalidów prowadząca tartak zakupiła nawet transformator mający umożliwić wprowadzenie elektrycznego napędu traka. Z zamiaru tego zrezygnowano jednak — po trosze z sentymentu, jaki

żywi do machinerii kierujący od wielu lat tartakiem Włodzisław Bogucki, a po trosze z powodu trudności energetycznych. Transformator, który stoi



więc beużytecznie, trafi niebawem do rozbudowanego zakładu kaletniczego w Starym Sączu — prowadzonego również przez Spółdzielnię Inwalidów „Spójnia”.

Orkiestra ZNTK w Ostrawie

Pierwsze próby pod batutą Kazimierza Kirschanka orkiestra dęta Warszawa Kolejowych w Nowym Sączu odbywała w lokau PPS-D przy ulicy Jagiellońskiej, a było to przed niemal 80 laty. Dziś orkiestra, której członkowie prezentują się wspaniale w swych granatowych mundurach, takichże pełerynach i góralskich kapeluszach, jest najlepszym tego typu kolejarzskim zespołem w Polsce.

Orkiestra dęta Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Nowym Sączu, koncertując pod batutą Zenona Drabińskiego, ściśle współpracuje z innym znanym zespołem, również mającym swą siedzibę w Nowym Sączu — reprezentacyjną orkiestrą Wojsk Ochrony Pogranicza.

Ostatnio osiemdziesięciu muzykujących kolejarzy — bo tylu liczy orkiestra ZNTK — wyjechało do Ostrawy, gdzie w dniach 27—31 sierpnia odbyła się Międzynarodowy Festiwal Wielkich Orkiestr Dętych. Spotykają się na nim najlepsze zespoły z wielu państw całej Europy, a nawet z Japonii. Polskę reprezentuje jeden zespół — własnie kolejarze z Nowego Sącza.

Mleczne absurdy

dzie dalej — do jednego z pięciu w regionie zakładów przetwórstwa mlecznego. Koszt takiej podróży każdego litra mleka wzrasta o kolejne 80 groszy. W mleczarni biały płyn zostaje „odchudzony” do normatywnej dla mleka konsumpcyjnego zawartości dwu procent tłuszczu. Jego wartość zmniejsza się o cenę pozyskanego tłuszczu przeznaczonego na wyrób innych artykułów, ale równocześnie dochodzą koszty przerobu i rozlewu do butelek. Nie są one wcale małe — sięgają czterech złotych za jeden litr.

Tym sposobem litr mleka konsumpcyjnego kosztuje latem 12, a zimą — 14 złotych. Ale nie koniec na tym. Mleko jest gotowe do sprzedaży i najwyższa już pora, by pojechało do sklepu. Znow dochodzi koszt transportu, a i handel musi uzyskać chociażby minimalny zysk — płaci więc spółdzielnia mleczarskiej 2,53 zł za litr, by sprzedać go konsumentowi za dwa złote dziewięćdziesiąt groszy. W zestawieniu z kosztami — cena wreszcie śmieszna.

Spółdzielczość mleczarska nie jest jednak dobrym wujkiem obdarowującym nas mlekiem niemal za darmo.

By utrzymać produkcję jednego z podstawowych artykułów spożywczych, musi otrzymywać potężne dotacje. Te dopłaty do produkcji mleka przekraczają pięćset procent ceny jego zbytu. Równie wysokie są one w przypadku twarogów. Najbardziej opłacalna jest produkcja śmietany „wiejskiej”, czyli zawierającej 12 procent tłuszczu — w tym przypadku dotacja tylko trochę przekracza 250 procent ceny zbytu.

Sprawą otwartą pozostaje jednak obniżenie kosztów transportu i przerobu mleka. Transport staje się tym tańszy, im więcej mleka się przewozi. Tymczasem w Nowosądeckim skupuje się za ledwie 23 procent tej ilości mleka, jaka jest produkowana (całkowita produkcja mleka sięga 390 milionów litrów rocznie). W 1980 roku skup mleka od jednej krowy w regionie wyniosł 600 litrów. Tymczasem średnia krajowa wynosi 1600 litrów. W aktywizacji skupu jest więc wciąż jeszcze sporo do zdziałania.

W fazie przetwórstwa również można poczynić oszczędności. Każde wyłączenie energii elektrycznej dla zakładu przetwórstwa mlecznego — to hektoli-

try zmarnowanego mleka. Park maszynowy zakładów mleczarskich nie jest najlepszy — szczególnie dają się we znaki fatalne automaty do mycia butelek, łukujące je. A każda butelka kosztuje немало, na dodatek produkcja nowych nie nadąża za potrzebami. Zdąrza się więc, że nie ma po prostu do czego rozlewać mleka.

Straty, i to całkowicie nieuzasadnione, powstają także w samym handlu. Butelki z mlekiem rozwzi się do sklepów wcześniej rano. Zimą zamrażają i pękają, nim trafią do nabywców, bo nie ma nawet sromianych mat, by zabezpieczać kontenery składowane przy sklepach. Latem mleko, śmietana i twaróg kwaśnieją, bowiem sklepy mają zbyt mało urządzeń chłodniczych. Kwasi się również mleko w butelkach, dostarczanych pod drzwi mieszkań, gdyż często dociera tam za późno, bo wyjęciu lokatorów do pracy. I znow przysyłowiy „sek” tkwi w cenach. Potencjalnym roznosieliom mleka nie opłaca się to zajęcie, bądź co bądź zmuszające do wstawiania w środku noicy. Dostarczanie mleka do mieszkań nie opłaca się także przedsiębiorstwu handlowemu, które już od dosyć dawna na tym nie zarabia.

Pora najwyższa, by dokładnie przejrzeć się, jak płynnie mleczna rzeka i z'kwidować absurd, które z sobą niesie.

List STANISŁAWA CICHONSKIEGO

Szanowny Panie Redaktorze! Nie zdziwiło mnie wcale, że redakcja Dunajca dołączyła do ogólnopolskiej nagonki w niektórych środkach masowego przekazu (RTV), wszak redaktor Adam Ogorzałek już w styczniu br. na marginesie strajku w ratuszu przedstawił swój stosunek do Solidarności. I od tego czasu niewiele się zmieniło. No cóż, posłużyłem w numerze 33 Dunajca z bm. jako tarcza (patrz art. — „Nie skaczymy sobie do oczu”). Ocenę swojej pracy jak i osoby pozostawiam przede wszystkim pracownikom ZNTK i ludziom — z którymi się w różnych sytuacjach spotykam. Sądzę, że te osoby mogą najlepiej ocenić

mój temat i mój stosunek do obecnej sytuacji. W komentarzu od redakcji na mój temat wypowiedziano następujące zdanie: „Przyszłi taki czas, że trzeba wybrać: politykierstwo czy działalność w interesie załogi bez macenia jej w głowie? Bardzo nas interesuje, co naprawdę Pan wybrał”. W związku z zaproszeniem mnie do odpowiedzi stwierdzam: Służę jako przewodniczący Komisji Zakładowej członkom „Solidarności” pracownikom ZNTK i nie tylko. Oczywiście pracując w Związku Zawodowym chcąc nie chcąc muszę się zajmować polityką. A jeśli mogę komentarze w radiowęźle, w którym

ludziom pragnęłam przedstawić prawdę, nazwał Pan skakaniem do gardła władzy — to już Pańska sprawa. Musi szanowna redakcja Dunajca o tym wiedzieć, że prawda może być tylko jedna, a jeżeli ani Wasza redakcja, ani inne środki nie potrafią tej prawdy mojej załozce przedstawić, muszę to uczynić ja. Nie wiem, w którym miejscu w tych komentarzach wyczytał Pan „jątrzenie”, chyba wtedy kiedy padły słowa tylko jednej prawdy — tej prawdziwej. Jeżeli chodzi o macenie w głowie, to najlepiej to potrafi czynić, ja tak uważam, Wasza gazeta (choć nie zawsze).

Nie trafem jest po roku czasu pytać, co wybrałem? — to, co wybrałem, co reprezentuję dziś — wyboru tego dokonałem znacznie wcześniej. Nie jestem chorągiewką, nie potrafię więc przedstawiać się jak to niektórzy działacze czynią. Swoją pracę kieruję wyłącznie w tym celu, aby służyć ludziom pracy.

Nie powinna mieć redakcja Dunajca żadnych wątpliwości, że reprezentując nawet największą społeczność istnieje potrzeba zajmowania się polityką, co wcale nie przeszkadza w pracy związkowej. Przecież wielu działaczy i przywódców zamiast zajmować się pracą w aparacie państwowym, interesuje się i przedstawiła w złym i nie prawdziwym świetle Solidarności i jej przywódców. Solidarności ich nie pyta: „coście to jęgomoście wybrali?” Ocenę zostawiam znowu członkom Solidarności — czy to jest politykierstwo, czy służenie ludziom.

Z poważaniem

STANISŁAW CICHONSKI

Odpowiedź „DUNAJCA”

Uprzejmie dziękuję za list w którym deklaruję się Pan jako miłośnik prawdy. Taka deklaracja zobowiązuje wszakże człowieka do poddania się próbie wiarygodności i dlatego proponuję, by zechciał Pan ponownie wziąć mikrofon do ręki i oświadczyć załozce ZNTK co następuje:

— Ja, Stanisław CichonSKI, podałem Wam w ubiegłym tygodniu mylną informację, w złym świetle przedstawiającą rząd Wojciecha Jaruzelskiego. Powiedziałem mianowicie, że drogą morską dostarczono do naszego kraju dziesięć tysięcy ton amerykańskiego masła. Powiedziałem, że tego masła nie pozwolono wyładować na ląd, wskutek czego odplynęło ono z powrotem. Powiedziałem, że prezydent Reagan wezwał polskiego ambasadora z Londynu i zażądał wyjaśnień.

Na swoje usprawiedliwienie mogę podać jedynie to, że pożyłem się informacją otrzymaną ze źródeł które uważałem datą za godne wiary (tu zechciał Pan napisać uwagę nadawcę balmutnej radiowęźla).

Oskarża się wszakże — Koleżanki i Koledzy — że fakty przeszły nie było w polskich portach i że prezydent USA wcale nie interweniował w sprawie masła. Także nazwisko ambasadora zostało zmienione. W tej sytuacji czuję się w obowiązku odwołać w całości nieprawdziwą informację.

Panie Przewodniczący! Dopiero po takim pub-

licznym oświadczeniu, dystansującym się od antyrządowej nagonki, wolno będzie Panu ponownie występować w charakterze rzecznika prawdy. Musi znowu Pan sobie sprawę że wykorzystano Pańską dyspozycyjność i Pański brak krytycyzmu dla kolportowania jawnego kłamstwa. Był Pan — pewnie wbrew swym intencjom — narzędziem brudnej manipulacji propagandowej.

A jeśli nie wierzy Pan nadal w oficjalny komunikat demontujący to perfidnie i jątrzące kłamstwo, proszę zamówić ze służbowego telefonu rozmowę z amerykańskim przedstawicielem w Krakowie. Dla spokoju własnego sumienia warto spytać o to nieszezne meblo. Może wtedy nieco inaczej spojrzysz Pan na kwestię prawdy i blagi? Może zrezygnuje Pan z podjeżdżania innych o uprwanie dezinformacji?

Lecz jednak w tym, czy śląc Pana na odwołać owej bzdury? Czy ma Pan tyle odwagi cywilnej, by stanąć w obronie prawdy? Tej jednej jedynie...

Będzie mi niezmiernie miło, gdy okaże się, że potrąci Pan odcinek się od tego nielicznego, ale hołubiwego towarzyszywa, które produkuje niepokój, maci w głowach i niszczy resztki zaufania społecznego. Wtedy, gdy Pan to zrobi, podejmijmy dialog i cierpliwie wyłóż inne — niestety liczne — Pańskie przeznaczenia jakimi raczył Pan ostatnio załozę ZNTK.

Na razie poprzestane na zapewnieniu, że ani „Dunajec”, ani ja nie przyłączymy się do żadnej nagonki na „Solidarności”. Wielomilionowy związek skupia przecież bardzo różnych ludzi i byłoby głupotą wsadzać ich do jednego worka. Myli się Pan sądząc, że już w styczniu przedstawiłem swój stosunek do „Solidarności”. W styczniu odrzuciłem jedynie okupowanie budynków państwowych, obecnie potrafiłbym wskazać więcej równie nielofalnych działań. Nie są to wszakże zastrzeżenia wobec mas członkowskich „Solidarności” lecz wobec różnych przeambicjonowanych polityków, którzy używają Waszego szyldu dla prowadzenia niebezpiecznej gry. Na szczęście coraz więcej uczciwych patriotów dostrzega jej sens. Chcę wierzyć, że to oni przesądzą o wyniku boju, jaki toczy się w Polsce. A na poboczu drogi, którą pojdziemy, zostaną osamotnieni siewcy niepotrzebnych burz. Zechce Pan odwagi w odkłamaniu sprawy masła i nieco umiaru w osądzeniu ludzi, którzy nie są ani gorsi, ani głupszy od Pana.

ADAM OGORZAŁEK

Post scriptum: Dlaczego postawienie kilku pytań Stanisławowi CichonSKIemu traktuje Pan jako nagonkę na „Solidarności”? Czyżby brak szlachetności? Proszę sobie nie wmawiać, że jest Pan tarczą do strzelania. Nasz artykuł — autoryzowany przez Pana — obiektywnie przedstawił przecież wszystko, co zechciał nam Pan opowiedzieć. Czyż nie tak?

A. O.

ZANOTOWANE NA PLENUM

Celem posiedzenia Komitetu Wojewódzkiego które odbyło się 17 sierpnia, było wytyczenie głównych kierunków działania wojewódzkiej organizacji partyjnej na bieżącą kadencję. Radzono o tym, jak przełamać inercję, jak skierować całą społeczną inicjatywę, w tym przede wszystkim inicjatywę członków partii na szukanie dróg wyjścia z kryzysu.

Odnotujemy niektóre wypowiedzi:

● Punktem wyjścia do wszelkich działań jest rozważenie: „co ja — członek partii — mam do zrobienia na swoim odcinku”. Równolegle trzeba walczyć z wszelkimi lajdactwami, jak na przykład spekulacją. Powołujemy w „Gliniki” zespoły do kontroli sklepów; postulujemy też, by ujawniać w prasie nazwiska spekulantów — to pokazuje społeczeństwu, że naprawdę walczymy z tą plagą.

Aby włączyć się w przygotowanie reformy gospodarczej, już dziś będziemy radzić o tym, kto powinien wejść do przyszłego samorządu robotniczego, a wówczas będą to ludzie zdecydowanie najtwardsi.

I jeszcze jedno: chciałbym uspokoić tych towarzyszy, którzy lękają się o przyszłość. Na dłuższą metę klasa robotnicza nie da się nikomu omamić i nie pozwoli na żadne decyzje godzące w społeczeństwo. (Aleksander Kuśnierczak).

● Potrzeba nam ogromnej odwagi w stawianiu wymagań rządowi i sobie. Wszystkie działania, jakie podejmiemy, muszą być zsynchronizowane z decyzjami Komitetu Centralnego i rządu, aby nie trzeba było z niczego się wycofać. Konieczne jest jak najszersze informowanie społeczeństwa, bo tylko wtedy możemy liczyć na jego pełne i świadome poparcie dla naszych niezbędnych działań. (Józef Brożek).

● Bardzo ważne dla partii jest odbudowanie samogodności wsi oraz włączenie do współdziałania z nami organizacji młodzieżowych. Dziś daje się

zauważyć odchodzenie młodzieży wiejskiej od tych organizacji ku „Solidarności”. (Stefan Kosiński).

● Trudno działać gdy są siły, które wciąż rzucają nam kłody pod nogi. Dla tych sił mocna jednolita partia i rząd są nieszeznością — trzeba to jasno powiedzieć — więc robią co mogą, by śląc zamęt w umysłach ludzkich. Niech się jednak nie lękają; partia będzie czujna, a rząd sięgnie po prawa które te siły ukroczą. My chcemy dialogu, ale w imię wspólnej sprawy: socjalizmu, nie zaś przeciw socjalizmowi. (Stanisław Opalko — członek Biura Politycznego KC, uczestniczący w plenarnych obradach).

● Czas najwyższy jasno postawić sprawę: jeśli w kwestiach społecznych, na przykład reformy gospodarczej, dyskusje są konieczne to w kwestiach ustrojowych nie powinno być żadnej dyskusji. Nie jest to tylko moje zdanie: słyszy się je powszechnie w społeczeństwie. (Stanisław Jaworski).

● Na każdym kroku słyszymy: zielone światło dla rolnictwa! Świeci ono jednak bardzo słabo. Jeżeli rolnictwo jest dziś tak ważne dla kraju, to trzeba mu stworzyć autentycznie wszelkie warunki produkcji. Narzędzia, materiały budowlane dla rolnictwa itp. bezwzględnie muszą się znaleźć. (Mieczysław Osikowski).

● Środki produkcji dla rolnictwa są szczególnie ważne. Podobno poszczególne zakłady miały zacząć produkować dla nas sprzęt — trzeba by więc, aby zdały sprawę z tego, co zrobiły dotychczas. Równie ważne są drogi dojazdowe do pól: jakoś radna kontrolowałam je w ubiegłym roku w naszej gminie Korzenna i stwierdzam, że w wielu przypadkach rolnicy musieli ze zwiezieniem plodów z pól czekać do mrozów, bo nie sposób było przejechać. (Anna Szczerba).

● Poważnym problemem jest zapewnienie dziś odpowiedniej ilości towarów na rynek, nawet w ra-

mach reglamentacji. Tymczasem jak oczekiwaliśmy od dostawców, skoro — powiedzmy szczerze — nie zawiera się żadnych umów, a zatem nie można i nie planować? Nie wskazano dotychczas organizatorów produkcji na rynek, nie wiadomo kto i ile będzie wytworzył. Nie zbilansowano surowców. Wszędzie widać niedowład organizacyjny brak myślenia perspektywicznego. Co z tego, na przykład, że zapowiadamy skup baraniny, skoro przywarze już dawno dotarliłi bezpośrednio na hale, do hodowców, i wykupili wszystko z góry? (Władysław Swider).

● Społeczeństwo nie domaga się dziś — co znamienne — zwiększenia dostaw towarów na rynek, ale likwidacji nieprawidłowości organizacyjnych. A to przecież powinno być w naszej mocy! (Ryszard Baran).

● Pojawiają się wciąż nowe żądania pod adresem administracji państwowej. Tymczasem podstawowym dokumentem dla wszelkich działań gospodarczych jest plan województwa, miasta, gminy i na jego wykonaniu powinny skupiać się wszelkie społeczne.

Jeśli chodzi o sprawy rynku, to łatwo nim kierować gdy wszystkiego jest dość. Co jednak począć, gdy towaru brakuje? Sama reglamentacja sprawy nie zatwili, skoro nie można mieć dziś pewności, że będzie dosyć towarów.

Powinny też sobie jasno: opracowanie programów to tylko punkt wyjścia do stabilizacji, ale wielkie czynniki to stabilizacja opóźnia. Mamy społeczne wsparcie deklarowane w dyskusjach, tymczasem nie bardzo je widać w praktyce. Konieczne jest zatem wytworzenie kultu dobrej pracy, umacnianie dyscypliny społecznej. Bez tego nie ruszymy do przodu. (Antoni Rączka)

(elg)

* PANORAMA REGIONU *

SPEKULACJA

O czwartej dwadzieścia wsiadamy w autobus. Jedziemy pod koszar, skąd zabieramy grupę żołnierzy WSW. I w drogę. O piątej trzydzieści jesteśmy już w Nowym Targu. Wysiadam w okolicach bazaru. Chcę tam być, zanim rozpocznie się cała akcja.

Targ dopiero się zaczyna, ale już widzę, że nie będzie duży. Idący za mną mężczyzna stwierdza: — „Oj, ciemniutko coś dzisiaj...”. Sprzedawcy otwierają stoiska z galanterią. Handlarze rozkładają towar na składanych łóżkach. Najwięcej jest świetny z wyrobami z owczej wlny: sówki, rekawice, czapki. No i oczywiście kilka furgonek pełnych baranów. Rejestracja samochodów różna; najczęściej nowosądecka, ale spostrzegam także krakowską, katowicką, a nawet warszawską. Klientów na razie niewiele. Jakis „konik” usiłuje namówić amatorkę kozucha, aby z nim poszła do sąsiedniego bloku.

Zimno. Kupuję gorącego gałębka — za dwadzieścia złotych! W jednym kącie zbiera się grupka ludzi. Podchodzę. Kobieta handluje większą ilością dziecięcych sandałków. Po chwili podchodzi do niej druga, mówią:

Niech pani już nie sprzedaje, biorę wszystkie.

Spotykam ją jeszcze, gdy kupuje pięćdziesiąt par futrzanych pantofli i sto sztuk rekawic. Wszystko pakuje do bagażnika samochodu ze słaską rejestracją.

Kilka handlarek gromadzi się koło głównego wejścia. Mają rajstopy, od dwustu do dwustu pięćdziesięciu złotych za parę.

Już króży raz z rzędu przechodzę wzdłuż stoisk. Niepodobnie królują wlna i wyroby regionalne: kasetki, obrázky, drewniane talerze z wizerunkami papieża. Te ostatnie w cenie — bagatela — dwa tysiące pięćset złotych. Kiedy tak stoję, zastanawiam się: „Kto za nie tyle da?”, jakis żywciliwy radzi mi:

— Musi pani kupić takie trzy: z papieżem, z Matką Boską i Jezusem. Jest to wydatek: siedem i pół tysiąca złotych, ale jaka piękna rzecz w mieszkaniu...

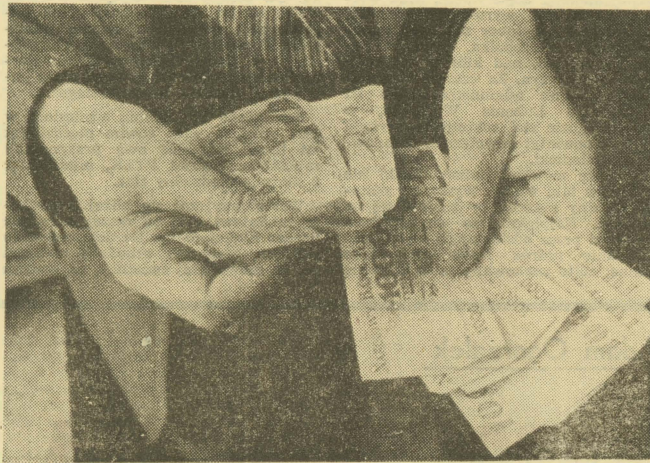
Obok w walizce popiskują szczeniata owczarka górskiego. Tysiąc siedemset złotych za sztukę. „Z ceną zawsze można się dogadać” — zachęca mnie ich właściciel.

Okolo siódmej rozpoczyna się sądny dzień. Żołnierze obstawiają wszystkie wejścia na targowisko. Kontrolerzy w mundurach i po cywilnemu znikają w tłumie.

Akcja kończy się około wpół do dziewiątej.

Udamy się teraz na błyskawiczną kontrolę sklepów spożywczych.

Przyznam szczerze, że przyglądałam się całej kontroli z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony potępiałam wszelkie ukrywanie towaru, którego tak brakuje. W opisywanym przypadku była to szynka, ponad dwadzieścia



Fot. ARCHIWUM

sztuks batonów, oset, śmietana, czekolada mleczna. Z drugiej jednak strony, żenujące było to szperanie po wszystkich zakamarkach magazynu. Ponieważ dodatkowo okazało się, że wszystkie ekspedientki nie miały ważnych książeczek zdrowia, sprawa została oddana do kolegium.

Towarzyszycy mi kontrolerzy stwierdzili, że obecnie coraz rzadziej chowa się towar na „lewy handel”, może dlatego, że w ogóle tego towaru jest coraz mniej, a i to na wylizane kartki. W najlepsze za to kwitnie wymiana usług: panienka z sklepu z pończochami odłoży rajstopy dla znajomej z drogerii, za co dostanie na zaplecze proszek do prania. Nieduży to handel, ale każdemu potrzebna jest w tej chwili jakaś waluta wymienna, a w naszej sytuacji może to być również dobrze gazeta, jak i rodynek.

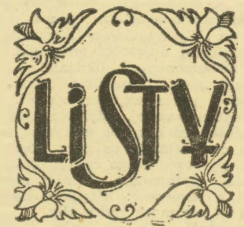
Wracamy do Komendy. O podsumowanie akcji poprosiliam jej organizatorów: ppłk. Mariana Noszczyńskiego z KW MO oraz zastępcę komendanta w Nowym Targu, kapitana Józefa Szarka.

Powiedzieli mi, że jest to już trzecia

tego typu kontrola bazaru w Nowym Targu. Pierwsza była w lipcu, a druga na początku sierpnia. Największe efekty przyniosła oczywiście akcja lipcowa, zwiększyła ona jednak czujność handlarzy, którzy zmienili metody han-

dlu, przenosząc się z towarem do bram i na meliny. W obecnej akcji zabezpieczono towar na czterysta osiemdziesiąt tysięcy złotych. Najciekawszym przypadkiem było zatrzymanie handlarza, który kupił sto owiec w PGR w Cieplicach, każdą za dwa tysiące siedemset złotych, a sprzedawał w Nowym Targu po... dziewięć tysięcy. Zanim go ujęto, zdążył już się pozbyć trzydziestu sześciu sztuk. Zlikwidowano także jedną melinę handlu kozuchami. Cena kozucha wyniosła czterdzieści siedem tysięcy złotych! Ponadto ujęto kobietę handlującą sztruksowymi spodniami po pięć tysięcy złotych za parę. Co ciekawe, okazało się, że są one uszyte z krajowego materiału, a fałszywe amerykańskie metki wyprodukowano w Krakowie. Przechwycono także artykuły spożywcze produkcji czeskiej. Było ich jednak zdecydowanie mniej, niż ubiegłym razem. Moi rozmówcy stwierdzili, że akcja miała przede wszystkim charakter prewencyjny, tzn. odstraszają spekulatorów od targowisk, a z drugiej pozwoliła na zlikwidowanie niektórych centrów czarnego handlu.

DANUTA BINEK



Kto nas obroni?

Mieszkam w Dąbrówce Polskiej, mam niewielkie pole, obsadzone ziemniakami. Włożyłam w nie wiele kosztów i pracy — cóż z tego, skoro uprawy niszczone są przez Cyganów z mieszczącej się w pobliżu ich kolonii. Czynią oni na polu wprost spustoszenie: wyrwywają całe pielesze i kradną nawet maleńkie zawiązki ziemniaków.

Jestem samotną staruszką, ale nie wyciągam ręki po zapomogi. Pole uprawiam należycie, a pragnę jedynie — nie tylko zresztą ja, ale i moi sąsiedzi, którym Cyganie również niszczą uprawy — by władze Nowego Sącza uporały się wreszcie z wandalami, a nam i naszym uprawom zapewniły jakąś ochronę.

ROZALIA KOŚCISZ
Dąbrówka 39
Nowy Sącz

Lokalne wodociągi w Szczawnicy-Krościenku

W celu poprawy zaopatrzenia ludności Krościenka — a zwłaszcza jego periferyjnych dzielnic — w wodę, w Szczawnicy-Krościenku przystąpiono do budowy wodociągów lokalnych. Powstały spółki wodno-wodociągowe, m.in. na os. Łąkocica i przy ulicach: Jagiellońska, Kościuski, Sobieskiego, Kozłeczyna i Leśna, Zdrojowa oraz Jarek.

Wodociąg buduje się głównie w czynie społecznym i systemem gospodarskim, niemniej spółki otrzymują dotacje z Urzędu Miejskiego, środków prewencyjnych PZU, funduszu gospodarki wodnej. Wysokość tych dotacji kształtuje się od 2.500 tys. złotych wżwyż.

Dotychczas wodociągi otrzymało 529 domów i gospodarstw rolnych. Z chwilą wybudowania wodociągu komunalnego, inwestycje te pozostaną wodociągami rezerwowymi, czyli tzw. awaryjnymi.

JÓZEF WITKOWSKI
Szczawnica

Dla kogo zakazy?

Mimo, iż na krynickich ulicach Bieruta i Kraszewskiego ustawiono znaki zatrzymywania się i postój, różnego rodzaju pojazdy urządzają tu sobie parkingi. Kierowcy widąc czują się całkiem bezkarni; funkcjonariusze MO i służby porządkowej przestali bowiem reagować na te wykroczenia. Podobnie dzieje się w al. Nowotarskiego, która jest zamknięta dla ruchu, ale tego zakazu żaden kierowca nie respektuje. A chodzi tu o spokojną kuracjuszy w Starym Domu Zdrojowym, naruszający notorycznie (zwłaszcza w godzinach nocnych) przez zmotoryzowanych piratów.

Dedykuję tych kilka uwag służbie ruchu drogowego MO i miejskiej służbie porządkowej; może kilka wysokich mandatów czy wniosków do kolegium orzekającego odstraszaloby innych?

ANTONI NAWROCKI
Krynica

(D.B.)

Zielone światło dla rolnictwa?...

Na początku czerwca pewien rolnik otrzymał następujące zawiadomienie: „Obywatel XY jest uprawniony do nabycia w tutajszej składnicy, w ramach przydziału na II półrocze 1981 roku, przetrzasała widłowego konnego. Przysiężona maszyna winna być odebrana w nieprzekraczalnym terminie do dnia 30 grudnia 1981 roku.”

Pierwszą wizytę w Składnicy Maszyn Rolniczych i Części Zamiennych w Nowym Sączu złożył jeszcze w czerwcu. Niestety, bez powodzenia. Poinformowano go bowiem, że dopóki nie zostaną odebrane maszyny przydzielone na I półrocze, dopóty nie otrzyma swojego przetrzasaacza. Odczekał więc kilkanaście dni i ponownie zjawił się w składnicy. Tym razem na przeszło dziesięć stanął brak faktur. I tak przez cały lipiec, co tydzień odwiedzał składnicę, oglądał stojące na placu przetrzasaacz i odchodził z kwitkiem. Faktur nie było.

W sierpniu zrozpaczony rolnik zgłosił się do naszej redakcji z prośbą o pomoc. Jeszcze w tym samym dniu udaliśmy się do Składnicy Maszyn Rolniczych przy ulicy Orawskiej w Nowym Sączu. Oto co się dowiedziałam od jej kierownika, Adama Gutkowskiego:

Przetrzasaarki otrzymali już w czerwcu, ale nie mogą ich sprzedawać, ponieważ do tej pory nie dotarły do Nowego Sącza faktury, na których podano by aktualną cenę. Zdarzyła się już podobna historia z młockarniami: sprzedali je rolnikom bez faktur, po starej cenie — 47 tysięcy złotych. Po pewnym czasie okazało się, że aktualnie kosztują one 62 tysiące.

— Włosy stanęły mi dęba — opowiada Adam Gutkowski — Skąd pokryć kilkunastotysięczne manko? Przecież nie możemy zmusić rolników do pokrycia tej różnicy. Nie wiedziałem co robić? Wreszcie zadzwoniłem do „Agro-

my” w Kaliszu, skąd przyszedł faktury. Tam poinformowano mnie, że te różnice oni pokrywają.

— Z jakich funduszy?

— Skąd mam wiedzieć. To kolejny nonsens naszej gospodarki. Weźmy na przykład sprawę tych faktur. Do lipca bieżącego roku przysyłano je do nas bezpośrednio z fabryki. Maksymalne opóźnienie nie przekraczało tygodnia. Komuś to jednak musiało przeszkadzać, bowiem od 1 lipca zmieniono fakturowanie i ceny fakturów. Maszyny przysyła nadal fabryka, ale bez podawania aktualnej ceny detalicznej, faktury zaś trafiają do odpowiedniej „Agromy” (w tym wypadku w Kaliszu), a dopiero stamtąd do nas. Maszyny już stoją, a my nie możemy ich sprzedawać, bo nie znamy aktualnych cen. Interweniowałem w „Agromie” w Kaliszu. Powiedzieli, że nie nadają się z wypisywaniem faktur, którymś zasympują ich fabryki. Co mamy więc zrobić?

Niestety, nie potrafię odpowiedzieć na pytanie kierownika Gutkowskiego, zresztą chyba nie ode mnie jej oczekuje. Jedno jest tylko pewne: w tym wypadku, jak i w wielu innych, potwierdziła się reguła: „Piękne hasła swoją drogą, a życie swoją”.

STANISŁAW KUSKOWSKI

Wydaje się, iż prawa „sezonu ogórkowego” w życiu kulturalnym Nowego Sącza przestały obowiązywać. Wskazywać na to mogą inicjatywy Muzeum Okręgowego, które w ciągu ostatnich trzech miesięcy zorganizowało dwie duże wystawy (ostatnio malarstwa B. Barbackiego), i nowosądeckiego Biura Wystaw Artystycznych serwującego miesiąc w miesiąc coraz to inną i coraz to efektywniejszą prezentację twórczości współczesnych artystów-plastyków. Na sierpień kierownictwo Biura Wystaw Artystycznych wyznaczyło nam spotkanie z twórczością malarską nowosądeczanina z urodzenia, a nowotarzanina z wyboru STANISŁAWA KUSKOWSKIEGO.

Stanisław Kuskowski urodził się dokładnie 40 lat temu w Nowym Sączu. Studia artystyczne odbył w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych pod kierunkiem prof. prof. Zygmunta Rudnickiego i Hanny Rudzkiej-Cybisowej, uzyskując dyplom w roku 1967. Prace swoje wystawia od roku 1973, prezentując je na 22 wystawach indywidualnych i zbiorowych oraz uzyskując cały szereg nagród i medali.

Chodząc po salach wystawowych BWA, w których ekspozycyjne są obrazy Stanisława Kuskowskiego zastanawiam się, co jest dominujące w jego malarstwie: czy zamiłowanie artysty do pokazywania swojej niezwyklej sprawności technicznej w operowaniu narzędziami malarskimi i ujawniania swojej wrażliwości na kolor, czy też wyniki poszukiwań sposobu wyrażania własnych przemyśleń nad istotą współczesnego świata? Należy przyjąć, iż prawda — jak zwykle tak i w tym przypadku — leży pośrodku. Jeśli pamiętać będziemy, że Kuskowski był uczniem prof. Hanny Rudzkiej-Cybisowej, członkini historycznego Komitetu Paryskiego czyli grupy tzw. „kapistów”, dla których kolor stanowił istotny element wypowiedzi artystycznej, zrozumimy i jego fascynację kolorem połączoną o własne poszukiwania wynikłe z zauroczenia malarstwem światłocie-

niowym mistrzów renesansu i wczesnego baroku.

Jerzy Madeyski, krakowski krytyk sztuki, we wstępie do jednego z ostatnich katalogów prac S. Kuskowskiego pisał, że „prawdziwym, celem Kuskowskiego jest wyrażanie... swych stanów emocjonalnych oraz ich podłoża; poczucia dramatu i lekkość osaczających świat i trwających w nim nieustannie”. Jest to z pewnością stwierdzenie bliskie prawdy, jednakże nie dające żadnego wyobrażenia o obrazach Kuskowskiego. Pokuśmy się zatem o przedstawienie ich ogólnej charakterystyki na użytek tych, którzy się z nim spotykają sporadycznie i raczej przypadkowo. Otóż najbardziej rzucającą się w oczy ich cechą jest nastrojowość uzyskana przez kontrast pomiędzy ciemnymi, monochromatycznymi przestrzeniami, które ograniczają ramy obrazów, a przebijającymi z ich wnętrza prześwietleniami, rozjaśnieniami, bliskimi tworzącymi dalekie horyzonty lub zarysy bliżej nie zidentyfikowanych przedmiotów i wyobrażeń. Malarstwo Kuskowskiego należy z pewnością do nurtu bezprzedmiotowego, alii w tej bezprzedmiotowości form, plam, cieni wrażliwy odbiorca może się bez trudu dopatrzeć dalekich krajobrazów, nastroju grozy, zwątpienia, ale i nadziei. Jest w nich zatem temat — czy go nie ma? O tym niech już decyduje każdy na swój prywatny użytek. Istotne jest w obrazach Kuskowskiego to, że nie idzie on na łatwiznę, że każdy obraz stara się przeżyć i dopracować w najdrobniejszych szczegółach. Są jego obrazy i normalnie estetyczne, i dramatyczne. Łączą w sobie w jedną całość kilkusetletnią tradycję malarstwa europejskiego i współczesne rozwiązania formalne. Sądzę, że dla wszystkich, którzy posiadają zdolność wczuwania się w Sztukę, obcowanie z obrazami Kuskowskiego będzie stanowiło dużej wagi przeżycie.

ANDRZEJ B. KRUPIŃSKI

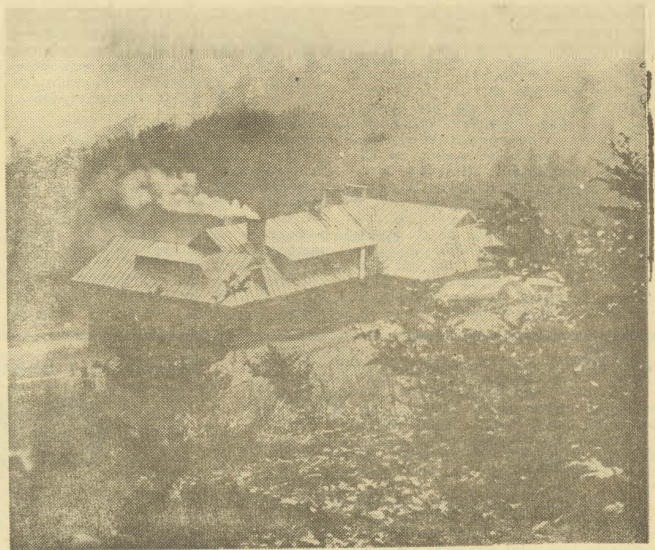


tofonu. Pani Zubkova pociesza mnie: „Tatar” skończył właśnie spisywać swe wojenne wspomnienia i ma zamiar udostępnić maszynopis redakcji „Dunajca”. Z ochotą opublikujemy te zapiski...

Równoległe płynie drugi nurt wspominków: starania oddziału „Beskid” zmierzające do postawienia na Łabowskiej schroniska. Pierwszą potrzebą sądeczan było schronisko na Przehybie. Ale zaraz potem zaczęła się krzątania PTTK wokół Łabowskiej. Najpierw szło o schron turystyczny. Wyśiłek aktywny i pomoc Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego (wszechobecnych na naszej ziemi w popieraniu dobrych inicjatyw!) zaowocowały w latach sześćdziesiątych. Szukano wody, zwożono materiały. Prezes PTTK, Władysław Stendera, oddaje honor ofiarności wielu dawnych i obecnych działaczy Towarzystwa, wspomina zaradną „Mamę” Słecową, która włodarzyła tutaj wraz z rodziną. Są tego wieczoru przy wspólnym stole znani i zasłużeni krajoznawcy: Wanda Szoska, Eugenia Kuczynska, Władysława Gurgulówna, Józef Waško, Leopold Bieniarz, Stanisław Biskupski. Niech mi wybaczą pozostali — bez wyjątku pięknie śpiewający i wspominający swe turystyczne przeżycia — że nie zdołam wymienić ich nazwisk. Oznakowane szlaki Beskidu Sądeckiego,

praca popularyzująca turystykę wśród młodzieży, kolejne górskie schroniska — to trwałe ślady, jakie po sobie zostawili przez te lata społecznej służby, która święci właśnie nowy sukces. Otwiera gościnne progi ładny, piętrowy obiekt mogący przyjąć na nocleg 50 osób. Jest kuchnia z zapleczem, jadalnia, agregat wytwarzający prąd, studnia... I jest przekonanie, że należy trwać przy własnej koncepcji turystyki skierowanej nie na wielkie obiekty i grube portfele, lecz na możliwości zwykłego „plecakowego” turysty. Jeszcze bzdurne przepisy stają w poprzek temu modelowi zagospodarowania gór, jeszcze PTTK nie doczekalo się moźnych wujków, którzy wsparliby jego ambicje — ale gromada miłośników swojszczyzny nie ustaje w pożytecznej robocie.

Zegnamy Ewę Piekarcz-Sobczyńską, która zaczyna gazdowanie na Łabowskiej i życzymy jej powodzenia w stworzeniu tutaj lubianej, przyjaznej ludziami placówki. W drodze powrotnej nadleśniczy Kosterkiewicz wraz ze swymi współpracownikami w zielonych mundurach opowiadają interesująco o swojej służbie. Umawiam się z tymi znakomitymi fachowcami na wędrowkę po okolicznych lasach i mam nadzieję, że jeszcze tej jesieni uda mi się ponownie wyrwać w ten nieznierwicowany świat, sposobny dla prawdziwego wypoczynku.



Fot. W. SZAFRAN

TATRZAŃSKICH SCHRONISK

łatnictwa z Chmielowskim, Humpolą i Zaruskim na czele. Pierwszymi gospodarzami schroniska był ród Budzów z Brzegów, a sławę przyniosło mu letnie w nim gazdowanie Wikty Budzówny Bigosowej. W tym to schronisku któregoś lata przeżyli turyści niecodzienne wydarzenie, wynikłe na tle rywalizacji młodych górali o urodziwe dziewczę z Brzegów. Pełna temperamentu młódź górska „najechała” bowiem schronisko w Pięciu Stawach — przebijając konno próg Siklawy. Przerażeni turyści przeżyli istne obłędzenie. Całe szczęście, że przytomna jak zawsze Wikta w porę zatrzasnęła drzwi schroniska. Drewniana buda aż trzęsła się od uderzeń kopyt końskich i szturmujących z niesłychanym impetem górali.

Takie to czekały turystów przeżycia w dawnych schroniskach tatrzańskich.

Po pierwszej wojnie światowej nastąpiła w Tatrach eksplozja narciarstwa. Ten żywiołowo rozwijający się ruch zmusił do zagospodarowania schronisk również w okresie zimy, nie tylko latem. Wtedy to właśnie namiętny miłośnik Tatr i Podhala, wybitny muzyk, Karol Stryjeński, „skomponował” śliczny budynek nowego schroniska w Pięciu Stawach. W tym to nowym schronisku gazdowała nadal — przez szereg lat — „orlica gór-

ska”, Wikta Budzówna, dzielnie wytrzymując obłędzenie wysokogórskiej zimy. Już samo prowadzenie schroniska w tym miejscu i w takich warunkach, i to w dodatku przez kobietę — granicyło z wyzwaniem. A przecież miała Wikta dokonać rzeczy znacznie trudniejszej.

Któręś Wielkiejnocy, gdy schronisko pełne było świątecznych gości, spadły olbrzymie — niespotykane nawet tu, w dolinie — śniegi; Pięć Stawów zostało odciętych od świata. Wkrótce zaczęło brakować jedzenia, lecz groźba lawin była tak poważna, że żaden z górali, którzy mieli donieść towar, nie śmiał przebyć doliny Roztoki. Również żaden z przebywających w schronisku gości nie ośmielił się nosa na dwór wysunąć. I wtedy Wikta, niewiele myśląc, przypięła narty do nóg, pozeгнаła gości i znikła za progiem Siklawy. Wróciła dwa dni później z górami, donosząc szczęśliwie zbawczy prowiant wygodniałemu narciarzom. Taka była Wikta i nie dziwi, że darzono ją szacunkiem i mówiono o niej z uznaniem.

Pisząc o dawnych schroniskach tatrzańskich i ich gospodarzach, nie można nie wspomnieć znanej skąd inąd postaci Bartusia Obrochty. Gazdował bowiem Bartus przed pewien czas w pierwotnym schronisku w Roztoce. Był go-

spodarzem niezwykłym, nawet jak na tamte czasy. Nic więc dziwnego, że i schronisko było nietypowe.

Gdy wytrwały turysta, zczepzony długim marzmem, docierał wreszcie do celu, witała go zwykle na zapartych drzwiach lakoniczna kartka Bartusia: „Poczekajcież, będę za kwilką”. Nie pozostawało więc przybywzowi nic innego, jak rozsiąść się wygodnie na trawie w pobliżu schroniska i cierpliwie czekać wieczoru. „Kwilka” kończyła się bowiem zwykle o szarowie, gdy nagle z okolicznych zarośli wyłaniał się gospodarz. W zaroślach właśnie pozostawił ubitą zwierzynę, udając naiwnie, że chażał po mleko do pasteryzacji za wodą, „jento że borie prasną kajsi w krzaki... z pościechu”. Był bowiem Bartus nie tylko niezwykłym muzykiem, ale i kłusownikiem nie lada.

Jedzenia w schronisku za czasów Bartusia nie było nigdy. Bo też gospodarz, obdzielony szczerze duszą artysty, nie bardzo dbał o przyziemne sprawy. Brakowało więc jedzenia dla gości, brakowało i dla samego gospodarza, tak że zwykle dokarmiali go „panowie” własnymi zapasami, z niemalym wysiłkiem przysztaszonymi tu w plecakach. Za to Bartus odplacał im szczerze, grając na gęśliskach cały wieczór i pół nocy do świtania. A w granu nie miał sobie równych na Podhalu.

Rad poniektórym gościom odprowadzić ich rankiem do Morskiego Oka, Pięciu Stawów lub Białej Wody, przygryzając po drodze. Hen, wysoko aż popod samą grań, gonila za odchodzącymi swojską nuta Bartusowych gęślisk.

Zahucący góry, zahucący lasy
Kany się podziały starodawne czasy?

DUNAJEC 7

TWOJEMU DZIECKU

Król Brahmadata był bardzo gadatliwy. Kiedy mówił, nikomu ze swoich doradców i dworzan nie dał dojść do słowa. A miał on między swymi licznymi ministrami i doradcami miedica jednego imieniem Bodhisatta.

W tym samym czasie kiedy Brahmadata panował w Benares, żył sobie w stawie w pobliżu Himalajów pewien żółw. Dwie młode gęsi szukając pożywienia spotkały raz żółwia i serdecznie się z nim zaprzyjaźniły. Pewnego dnia powiedziały do niego:

— Drogi żółwiu, musimy niedługo odlecieć do naszej ojczyzny.

Leży ona daleko w górach, jest najpiękniejsza na świecie i bogata w żywność. Chcemy cię tam zabrać.

— Chętnie z wami pojedę — odpowiedział żółw — ale jakże się tam dostanę. Jak wiecie, jestem stworzeniem powolnym, pełzającym po ziemi i pływającym po wodzie.

— To tylko od ciebie zależy! — zawołały dzikie gęsi. — Jeśli

żółw. Uchwycił się zębami przęta. I gęsi uniosły się razem z nim w powietrze.

Leciały długo nad ziemią, nad polami, lasami i ludzkimi osadami. Właśnie przelatywały nisko nad wioską. Zobaczyły dzieci, że dwie gęsi fruną z żółwiem — i zaczęły krzyczeć, rekami wymachiwać.

— Patrzcie, patrzcie, żółw leci razem z gąskami. Żółw na kiju!

i spadł na dziedziniec pałacu królewskiego w mieście Benares.

— Żółw spadł z nieba! Żółw spadł z nieba! — podniósł się krzyk wśród dworzan. Właśnie przechodził tamtędy król Brahmadata wraz ze swym ministrem, mądrym Bodhisattą.

— Skąd się wziął ten żółw? — król pyta. — Dlaczego spadł z nieba?

Mądry Bodhisatta odpowiedział: — Panie! Ten żółw miał dwie przyjaciółki, dzikie gęsi. Postanowiły one zabrać go ze sobą, gdy wiosną odlatywały do swojej ojczyzny. Wzięły kij w dzioby, żółw uchwycił się środka przęta i poleciał. Ale żółw na swoje nieszczęście był wielkim gadułą, widąc więc nie wytrzymał długo w milczeniu i komuś chciał coś powiedzieć. Puścił przęta i spadł na ziemię, zabijając się na miejscu. O! i cała historia, królu. Tak, tak, gadułstwo nieraz może przynieść nieszczęście — zakończył medzecc.

Król Brahmadata, który był znany z niepokromionej chęci mówienia, odjął powściągnął swój język, co i jemu i jego królestwu na dobre wyszło.

O GADATLIWYM ŻÓLWIU

przrzekniesz nam, że nie wypowiesz ani jednego słowa podczas naszej podróży, wszystko pojedzie jak z płatka.

— Ależ przrzekam wam, że cały czas usł nie otworzę — rzekł żółw.

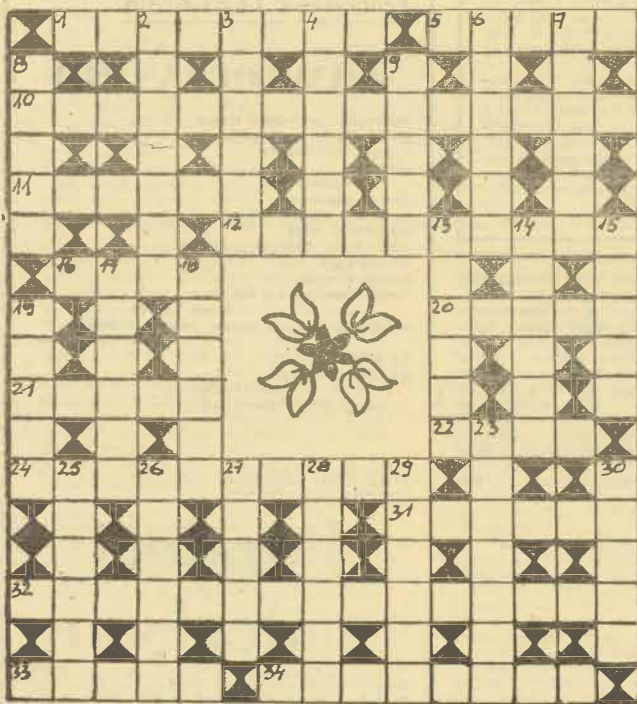
— A więc dobrze — ucieszyły się gęsi. Widział ten przęta bambusowy? Weźmiemy go z obu końców w dzioby, a ty uchwycić się zębami środka kija i mocno się trzymaj.

— To bardzo proste — mówi

Cała wieś zbiegła się na pole oglądać to dziwowisko. Gęsi leciały szybko, już wieś zniknęła im z oczu i ukazały się wieże królewskiego miasta Benares, a żółw, że był powolny, dopiero teraz dzieciom odpowiedział, bo już nie mógł wyrzyczyć z irytacji:

— Głupie dzieci, co was obchodzi, jak ja lecę. Chciał jeszcze dodać: — To moje przyjaciółki mnie wiozą ze sobą do swego pięknego kraju — ale już nie zdążył. Zleciał w dół na łeb na szyję

Krzyżówka nr 35



POZIOMO: 1) nasz reprezentacyjny zespół pieśni i tańca, 3) w godzinach szczytu w tramwajach i autobusach, 10) przekonanie, 11) 2987, 12) sprawa małej wagi, 16) niespodziewany zwycięzca, 20) wiruje w turbinie, 21) składnik specjalnych stali, 22) znana piosenkarka murzyńska Eryk, 24) male miasto, 31) rosie z igłami, 32) niesnaski, 33) umówiła się pod jaworem, 34) norma — wzorzec.

PIONOWO: 2) z przodu i tyłu samochodu, 3) organizacja lub instytucja zbierająca wiadomości, 4) zbrojny załazek, 6) wzniosł najwięcej ze znanych piramid, 7) do knucia, 8) leży nad Odrą, 9) więcej niż morze, 13) opuchlizna, 14) dudnienie, 15) na przesyłce poczytelny, 17) kurtka albo czapka kawalerska, 18) dawny wizerunek ubiór męski, 19) autor poematu

„Kwiaty Polskie” 23) widowisko, zabawa, 25) na warszawskim Pałacu Kultury i Nauki, 26) szczegółowy czasomierz, 27) marka polskich tranzystorów, 28) eiaży na oskarżonym, 29) nasz eksportowy śpiewak, 30) kwiat jesieni.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 32

POZIOMO: 1) okrągłak, 5) gmerk, 10) provincializm, 11) Kielce, 12) spadochron, 16) staw, 20) poseł, 21) denar, 22) sask, 24) apartament, 31) rokita 32) samostanowienie, 33) szata, 34) starosta.

PIONOWO: 2) rewolta, 3) Ganges, 4) Azjata, 6) Moloch, 7) rzyzko, 8) opoka, 9) żniwo, 13) cyprus, 14) reszta, 15) nator, 17) turnia, 18) wykret, 19) łódka, 23) sekvens, 25) pisarz, 26) raport, 27) aguti, 28) ebonit, 29) Trewir, 30) zamek.

Nagrody za prawidłowe rozwiązanie wysłali panowie Marian Kusiak z Wysowej i Jan Noder z Zakopanego. Gratulujemy.

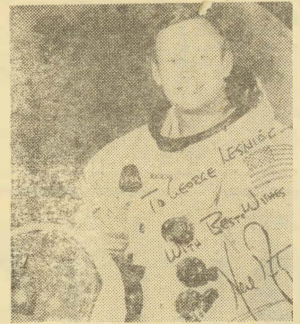
Autografy — choroba nie tylko nastolatków

Słownik i encyklopedia wyjaśniają, że wyraz *autograf* jest pochodzenia greckiego i składa się z dwóch rdzeni: *autos* — co znaczy „sam” oraz *grapho* — „pisać”. Autografy więc to nie tylko podpisy, lecz również listy wybitnych osób, teksty rękopiśmienne, na przykład sławnych pisarzy i polityków, listy Marksa do Kugelmanna czy Engelsa to cenne dokumenty historyczne i naukowe. Kartka rękopisu Zeromskiego czy listy Hemingwaya są o wiele cenniejsze niż podpis niedługo gwiazdy filmowej. Obok wartości poznawczych rękopisy te posiadają swą wartość handlową. Od czasu do czasu prasa podaje rewelacyjne wiadomości: listy Lincoln’a czy Chaplina zostały sprzedane za kilka, kilkanaście tysięcy dolarów (warto przypomnieć, że pierwsza publiczna aukcja autografów odbyła się w 1801 roku w Paryżu; sprzedano wówczas listy kardynała Richelieu).

Kolejny amator rozróżnia jednak wartość handlową autografu od wartości, jaką do niego sam przywiązuje. Polowaniem na autografy zarozumiał jest wielu młodych ludzi. Czy to po emocjonującym meczu, kiedy piłkarze wbiegają do szatni i są oblegani przez tłum, czy też po występach znanych artystów lub wicezoro autorskim pisanem. „Gazeta Krakowska” podała, że na IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR jeden z delegatów krakowskich podszedł do I sekretarza Komitetu Centralnego Stanisława Kania z prośbą o podpisanie „delegacji”. Stanisław Kania nie odmówił i w odpowiedniej rubryce złożył swój podpis czyli własne autograf.

Równie ekscytująca jest korespondencyjna prośba o autograf. Otrzymany potem list — to już autograf najcenniejszy, jakby miał ułtwór o określonej treści i adresacie. Jeszcze w szkole podstawowej pisywaliśmy z kolegami do Sidy, Lubuskiego i Szewińskiej. Bezdolne zbiory powoli układały się w grupy tematyczne: sportowe, aktorzy, literaci. Cenną pamiątką stawały się dedykacje umieszczane przez autorów na egzemplarzach swoich książek, krótkie, odręczne teksty z podpisem i datą od Dygata czy Szymborskiej. I tak jak inni popyrce zbieractwo znaczków pocztowych — my właśnie przez kolekcjonowanie autografów wkroczyliśmy w wielki świat, poznawaliśmy bliżej biografie i sylwetki znanych ludzi.

Nie wiem już, kto pierwszy wpadł na pomysł wysyłania gratulacji i życzeń do sławnych osobistości, za



przykład z okazji objęcia ważnego urzędu państwowego, wyczyni naukowego, otrzymaniu nagrody, pobicia rekordu świata, urodzin lub jubileuszu. Jeden z kolegów szczytlich obdarzył fotografią angielskiej rodziny królewskiej z faksymile podpisów. Trzeba przyznać, że w krajach kultury anglosaskiej istnieje o wiele więcej niż u nas szacunek do obowiązku odpisywania na listy. Jeżeli ich liczba przekracza możliwości danej osoby, czyni to sekretarz, albo sporządza się właśnie faksymile (fotografie okolicznościowych formulek z podpisem). W ten sposób wzbogaciłiśmy swoje zbiory o autografy prezydentów Pompidou i Cartera, piłkarzy Liverpoolu i Realu Madryt, barwne fotografie z podpisami amerykańskich astronautów, w tym najcenniejszy od Neila Armstronga, pierwszego człowieka, który stanął na Księżycu.

Dziś o tej młodzieńczej pasji prawie zapomnieliśmy. Czasem tylko, odkurzając dobowe skrytki, natrafiam na pękate albumy i zeszyty pełne ówczesnych „zdobyczy”. Czuję się przy tym jak pejsanarka wertująca swój sztab. Spoglądają na mnie z fotografią twarze ludzi, których już dawno nie ma wśród żywych: profesora Władysława Tatarskiego, Melchiora Wańkowiaka i Leonida Teliga. Pomnieć widnieją ich odręczne uwagi i podpisy. Autografy, hobby tysięcy egzaltowanych licealistek i poważywych czterdziolatków, to nie tylko miła pamiątka. To także refleksja nad przyswajającym się przed twoimi oczami życiem, w którym jak na taśmie filmowej twarze i zdarzenia pojawiają się, znikają i znów pojawiają...

JERZY LEŚNIAK

Pierwsze dni w szkole



— Nie mogłaś mnie zapisać na uniwersytet? Tam rok szkolny zaczyna się w październiku.

Rys. JULIUSZ PUCHALSKI



Sposób na wierność

32-letnia pani Sue Bows z Londynu, która wybierała się na urlop, a nie bardzo była pewna wierności małżonka pozostającego w domu, zabrała ze sobą w drogę jego... sztuczną szczękę. „Brak zębów sprawi, że odechce mu się amorów” — powiedziała pani Bows.

Tylko jeden kieliszek

— No i co, co ci powiedział lekarz?
— Pozwolił mi pić jeden kieliszek dziennie.
— Stosujesz się do zalecenia?
— Naturalnie, ten oto kieliszek piję już za 30 września 1982 roku.

Nowa rozrywka

Koncerny elektroniczne w pościgu za klientem, na razie z zasobną kieszenią, wprowadziły na rynek komputery w połączeniu z telewizorem, które pozwalają intrygująco „zabijać czas”. Za naciśnięciem guzika na małym ekranie można „bawić się” w lądowanie na Księżycu lub też przegrywać fortuny w kasynach gry. Kasety z odpowiednimi rodzajami gier są do nabycia osobno. Cena tej przyjemności nie schodzi poniżej tysiąca dolarów.

Jerzy Leszczyński

Fraszki

DEFINICJA WAŻNIACTWA

Jest to zadzieranie głowy ponad poziom umysłowy.

PEDAGOGIKA SPECJALNA

Niejednego z młodych wychowuje ulica zaprojektowana przez własnego rodzica

GDYBY...

Gdyby ośa trawa porośla, mniejsze z wyżywieniem byłoby zmartwienie.

MOŻNA...

Można czasem trafić marnie, ze świecznika na latarnię.

Majątek na błędach

W Dallas zmarła w wieku 56 lat milionerka, Clarie Grahara. Przy tej okazji przypominano, że była ona kiedyś sekretarka i zawsze robiła mnóstwo błędów maszynowych. Aby zaoszczędzić sobie pracy przy usuwaniu błędów wymalowała biały płyn, wywabiający źle napisane słowa. Ten płyn, używany przez wszystkie sekretarki amerykańskie przyniósł jej fortunę.

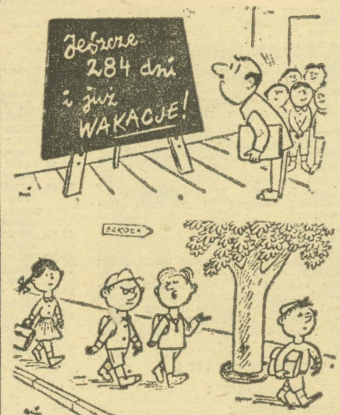
Pranie banknotów

Jedna z firm pralniczych, chcąc wygrać konkurencję z innymi pralniami, wprowadziła dodatkową i bezpłatną usługę. Kto przyniesie do czyszczenia garnitur lub kostium, może również przynieść do odświeżenia zabrudzone i pomięte pieniądze. Po odpowiednich zabiegach banknoty są jak nowe.

Piękny zwyczaj

W północnym rejonie RFN został reaktywowany stary zwyczaj, że nowożeńcy muszą po ślubie zasadzić 20 drzew. Ten zwyczaj powstał po zakończeniu wojny 30-letniej, kiedy w całej okolicy Bremy zniszczono lasy. Jako pierwsza wznowiła go przed trzema laty miejscowość Bederkesa spod Bremy i co ciekawe, wzywane do sadzenia drzew młode pary czyniły to chętnie.

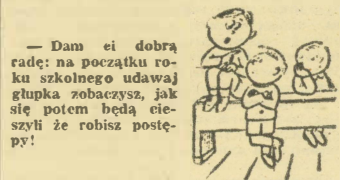
Z teki Gwidona Miklaszewskiego



— Szkoła ma jedną dobrą stronę, przez pół dnia jesteś z dala od rodziców!...



— W naszej szkole jest byczo! Jeszcze nie skończyli remontu!



— Dam ci dobrą radę: na początku roku szkolnego udawaj głupka zobaczysz, jak się potem będą cieszyli że robisz postępy!



— Kowalski, jutro przyniesiesz pióro i zeszyt jak inni, rozumiesz...

„Express Wieczorny”

Eugeniusz Korkosz

WOLA DZIADKA MATEUSZA

Zgodnie z obowiązującą dawniej na wsi tradycją Józek Banasik, jako najmłodsze dziecko w rodzinie, przejął gospodarstwo po rodzicach. Solidnie zresztą przygotował się do pełnienia obowiązków na ojcowskim zagoniu. Ukończył technikum rolnicze, uzyskał prawo jazdy na ciągnik.

Podupadłe gospodarstwo wymagało natychmiastowego działania. Zaciągnął więc Banasik pożyczkę w SOP-ie, wniósł podanie o kredyt inwestycyjny. Harował ofiarnie od świtu do nocy. W wolne soboty pomagał mu brat Edek, który wiele lat temu opuścił na stałe wieś rodzinną i po ukończeniu studiów został kierownikiem muzeum regionalnego w pobliskim mieście.

Z podziwem kiwali głowami sąsiedzi przepowiadając Józekowi świetlaną przyszłość. Z czasem jednak zaczęto patrzeć na poczynania młodego gospodarza podejrzliwie. Bowiem w zagrodzie Józka zaczęły się pojawiać narzędzia, których nikt nigdzie kupić nie mógł. Z zadróżcią spoglądano na stojący na podwórku kultywator, masywne brony kowalskiej roboty, prawdziwe widły do ziemniaków z kuleczkami na końcach i z wygiętym styliskiem. Przed oborą stały dwa pługi z lśniącymi lemieszami. Były tam również ręczne opylacze do drzew, siewnik konny i motyki.

Ponieważ w sklepie nie można było kupić tych narzędzi, coraz częściej przypisywano Józekowi powiązania ze światkiem pokątnych handlarzy. W efekcie sprawa zainteresował się samorząd wiejski. Wezwano Banasika na zebranie ogólnowieskie. Po omówieniu aktualnych problemów

związanych z kontrakcją głos zabrał sołtys Kroczek.

— Chcemy na dzisiejszym zebraniu wyjaśnić jeszcze sprawę Józka Banasika. Niepokoi nas fakt, że w gospodarstwie Józka pojawiają się narzędzia do produkcji rolnej, których praktycznie w sprzedaży nie ma od wielu lat.

— Niech Józek szczerze powie, w jaki sposób stał się posiadaczem tych, co tu dużo mówię, rolniczych rarytasów — zaproponował radny Jan Zgoda.

— I kto mu w tym pomógł — wtrącił nerwowo nacelnik OSP. Ogólna wrzawa na sali przerwał donosy głos Józka:

— Już, drodzy moi, wszystko wyjaśnię. W zgromadzeniu sprzętu pomógł mi brat Edek, który...

— No właśnie — przerwał ktoś z sali — brat pracuje w mieście, to i znajomości ma szerokie...

— Pozwólcie mi dokończyć — upierał się Józek. — Brat pracuje w muzeum regionalnym i od niego wypożyczyłem większość narzędzi rolniczych. Pragnę również poinformować, że wszystko to przekazał przed laty do tego właśnie muzeum mój dziadek Mateusz. Zapowiadano wówczas masowy dopływ nowoczesnych narzędzi dla rolników. Dziadek wierzył. A że był człowiekiem przetrzymym, zastrzegł w akcie darowizny, że w razie potrzeby przekazane eksponaty mogą być wypożyczone najbliższej jego rodzinie. Muzeum spełnia więc rolę dziadka Mateusza — podkreślił z naciskiem Józek.

W sali zaległa cisza.